

Bieszczadzkie wspomnienia

Któregoś dnia przy herbacie, na prośbę wnuków, opowiedziałem znowu historię – jak to było z tym wilkiem?

Choć minęło już przeszło ćwierć wieku, to wydaje mi się, że było to niedawno. W 1959 roku na święta Bożego Narodzenia spotkał się w Krakowie u Rodziców Zosi i Władzia. Mąż Zosi, Andrzej, zaprosił nas na polowanie w górach, w okolicy Sanoka, na wilki i dziki. Również zaproszony został Maciek, kuzyn Zosi, świetny myśliwy. Wszyscy pięcioro znaliśmy się z czasów wojny i mieliśmy wiele wspólnych przeżyć wojennych. Każde nasze spotkanie było dla nas świętem. Do polowania zapał mieliśmy jednakowy, a Andrzej chorobliwie kochał łowy w górach.

Po wielu kłopotach z uzyskaniem urlopu wszystko zostało przełamane i 5 stycznia 1960 roku wyruszamy z Władziem i Maciem pociągami do Sanoka, którym w tym okresie jechało się 9 godzin. Andrzejowie wyjechali wcześniej, żeby nawiązać kontakty z miejscowymi kołami. Na stacji czekały sianie i przyjechaliśmy na miejsce około ósmej wieczór. Przemili państwo domu czekają z ciepłą kolacją i wieloma informacjami na temat wilków i dzików. W sąsiedniej wsi w Nowy Rok wilki zjadły psa przy budzie, pozostawiając tylko łańcuch. Nawet obrozę pożarty. Dziki przeszły na tamtą stronę, a wilki zapadły w wądołach koło Koscia. Na polowaniu koło Łupkowa na myśliwego wyszły dwa wilki, które spuścił brenkami, a stary pan Stefan zrobił dubleta do dzików. Lisów podobno w tym roku było masę, bo już koło miejscowe strzeliło 37. Od tych wiadomości głowa puchnie i rosną apetyty łowieckie. Najważniejszą wiadomością jest to, że jutro o piątej rano wyruszamy do Komańczy.

Zanim zdążyliśmy zasnąć, już trzeba było wstawać. Po śniadaniu ruszamy do Mokrego. W pociągu spotykamy myśliwych z Sanoka. Mnie interesują psy gończaki, spokojnie leżące pod ławkami. W Komańczy wysiadamy i nie mogę poznać tej miejscowości. Pamiętam ją z „Akcji Wisła” w 1947 r. Skóra mi cierpnie na wspomnienie tych okropnych czasów. Na stacji otrzymujemy informację, że zbiórka myśliwych jest za Cerkwią. Na miejscu stwierdzamy, że jest nas 12 plus cztery psy, a to: Kwiatek, Jurek,

Burek i Łatka. Andrzej pokazuje mi Jurka i mówi, że jest to najstojniejszy pies w okolicy. Podobno był raz przez chorego właściciela wypożyczony na polowanie. Wyprowadził na linię myśliwych dzika, którego chybiono. Pies obraził się, sam przybiegł na stację kolejową, wskoczył do pociągu i wrócił do domu. W tym momencie podsłuchujący nas właściciel Burka stwierdził: panie, Burek jest najmądrzejszy, bo jak wracam do domu i zmęczony śpię po polowaniu, a żona przegląda mi kieszenie, szukając pieniędzy, to on ją gryzie.

Po chwili jeden z miejscowych myśliwych zwołuje zebranie i proponuje wybór łowczego. Jego zdaniem Roman jako najlepiej znający teren, powinien prowadzić polowanie. Wszyscy się zgadzamy i ciągniemy numerki. (Goście są zwolnieni z naganek, gdyż nie znają terenu.) Najniższy numer zabiera ze sobą psy na sznurkach i idzie podłożyć je do miotu.

Jako pierwszy miot bierzemy „Mohyłę”. Jest to zalesiona góra o powierzchni stukilkudziesięciu hektarów. Na stanowiska idziemy pod górę, w śniegu do kolan, prawie godzinę. Po półtorze godzinie sąsiad zwołuje mnie ze stanowiska, gdyż psy już wyszły z miotu, nie natrafiając na żaden trop. Na zbiórce Andrzej, śmiejąc się, pokazuje mi las na horyzoncie, który ma być następnym miotem. Sam nie wiedział, że mówi prawdę. Do miotu szliśmy trzy i pół godziny po śniegu różnej głębokości. Kilkostopniowy mróz, a ja kożuch mam mokry na wylot. Na miejscu ponownie ciągniemy numerki stanowisk i nieszczęśnik z nr 1 zabiera psy. Pan Roman stawia nas kolejno na skraju łączki, między dwoma lasami. Przed nami młody las mieszany z przewagą sosny, natomiast za łączką stary las bukowy. Po godzinie słyszę idący gon. Mam nadzieję, że idzie w moim kierunku. Niestety, po chwili padają strzały na linii w lewo od mojego stanowiska i wszystko milknie. Trąbka zwołuje nas na zbiórkę. Dziś wyszły na młodego, niedoświadczzonego myśliwego, który na skutek emocji chybił. Wszyscy są zmartwieni. Psy poszły za dzikami i nie wiadomo kiedy wrócą. Rozpoczynamy marsz powrotny do Komańczy, zapada zmrok.

O szóstej rano zbudził nas dzwonek klasz-

torny. Śmiejąc się, mówiłem do kolegów, że nic nie jest tak dokuczliwe w życiu, jak trąbka w wojsku lub dzwonek w klasztorze. Po śniadaniu wyruszyliśmy w szczuplejszym gronie w kierunku Łupkowa. Po dwóch godzinach zajmujemy prześliczny miot. Naturalnie jedynka z psami wyrusza w kierunku południowym. (Zgodnie z aktualnym wiatrem będzie założony gon.) Nasza ósemka rozpoczyna zajmowanie stanowisk. W kompletnej ciszy, w mokrym śniegu, ponieważ wieje ciepły wiatr od południa, kolejno stajemy na skinienie łowczego. Po 20 minutach padają dwa strzały i wszystko milknie. Po godzinie łowczy zwołuje nas trąbieniem na łufach. Okazuje się, że rozprawiający myśliwych chciał zmniejszyć miot i ruszył watahą dzików. Strzelał do przelatka, który farbuje ciemną farbą, prawdopodobnie strzał mięśniowy. Jeden z młodych myśliwych upiera się, że był to strzał na płuca. Gdy usłyszał odpowiedź któregoś dowcipnisa, że jeżeli był to strzał w płuca, to raczej w te wydechowe, dyskusja się skończyła. Zgodnie z decyzją łowczego, kończymy polowanie i wracamy do Komańczy.

Pociąg południowy w kierunku Sanoka uciekł nam przed nosem, następny mamy dopiero o godzinie siedemnastej. Na stacji w Mokrem dowiadujemy się, że furman umówiony wcześniej przestraszony nagłą odwilżą, po pociągu południowym pojechał do domu. Wobec tego jedenastokilometrową drogę do domu pokonujemy pieszo. W drodze robię sobie różne obietnice, bo już całkiem dosyć mam polowania, dźwigania broni i torby, a zwłaszcza męczącego marszu. Pocieszam się tym, że inni są również, lub nawet bardziej zmęczeni i idą w ciszy powoli. Z radością wchodzimy do ciepłego domu, gdzie przemila Zosia czeka na nas z kolacją. Nawet nie wiem, kiedy po kolacji kładąc się do łóżka zasnąłem. Budzi mnie głośnie rozmowa Andrzeja z zamówioną naganką. Byli to nasi stali towarzysze łowów: Mikołaj, Janek, Genek i Antek. Znali okoliczne lasy i potoki doskonale. Wszystko wiedzieli i przemierzaliśmy razem na różnych polowaniach wiele kilometrów. Nie rozumiem dlaczego jeszcze śpimy. Wiatr uciął, a nad ranem przymarzło. Zrywam się z okrzykiem „Wstawać” i za parę minut

jesteśmy przy śniadaniu. Zapada decyzja, że dzisiaj nie idiemy nigdzie daleko. Po prostu „Wiejskie potoki”, potem „Cyple” i wracamy przez „Dębinę”. Jutro czeka nas dalsza droga, ale szkoda każdego dnia urlopu, więc w pole i las.

Na potokach spotykamy grupkę ludzi, wracających ścieżkami przez góry z Sanoka. Twierdzą, że rano widzieli w polach wilki, które kierowały się na „Cyple”. Andrzej, kiwając ręką, zwołuje nas na naradę. Jesteśmy oddaleni od lasu „Cyple” około 200 kroków. Słychać beczenie kozy. Genek mówi: panowie, to wilk atakuje sarnę. Andrzej błyskawicznie wydaje polecenia: chłopcy polami mają iść na dół do wsi i od wsi pędzić pod górę „Cyple”. Myśliwi natomiast obstawiają miot wielkości około 40 ha dróżką idącą przez las. W lesie leżą przymarzniałe płatki śniegu. Na pierwszym stanowisku od pół staję Maciek w parasolach świerkowych, na ścieżce wydeptanej przez zwierzynę. Na drugim stanowisku Władek, mając przed sobą gęstą wał młodnika sosnowego, obok ścieżki wydeptanej przez zwierzynę. Dalej miejscowy myśliwy, pan Edward. Czwarte stanowisko otrzymuję ja. Przed sobą mam dosyć gęstą drągowinę dwudziestoletniego lasu mieszanego z rzadkimi parasolami świerkowymi,

względnie jodłowymi. Dalej poszli Andrzejowie i drugi miejscowy myśliwy – pan Władek, skręcając drogą trochę do przodu.

Ładuję dubeltówkę śrutem 4,5 mm przytrzymując leciutko klucz od zamka i zamieram w bezruchu. Przypominają mi się w tym momencie słowa znanego myśliwego z okresu międzywojennego, p. Jabłonowskiego: „Na stanowisku w kniei stój spokojnie, bo jak zwierci dobrze wyjdzie, to na pewno strzelisz”.

Po kilkunastu minutach słyszę krzyki chłopców z naganki. Jeden z nich znalazł jakąś blachę i wałąc w nią kijem, czyni okropny hałas. Mija jeszcze kilka minut i z prawej strony pada pojedynczy, głuchy strzał. Za chwilę strzela mój sąsiad p. Edward. Śruty sypią się po krzakach niedaleko mnie.

Po paru minutach słyszę i widzę zarysy zwierza defilującego w odległości 60 metrów, który ku mojej radości robi wolte w moim kierunku. O święty Hubercie! Widzę doskonale wilka idącego wprost na mnie. Trójkątny łeb zwieszony na dół. Wpatruję się w niego, bo jest to pierwszy wilk, którego widzę na wolności. Ku mojemu zdziwieniu wilk ten przysiadł na zadzie za dwoma młodymi jodełkami w odległości 18 kroków od mojego stanowiska i nadstuchuje.

je. Wtedy to bezszelestnie podciągam broń do ramienia wolniutkim ruchem (jak na stendzie). Krzyk naganiacza, zwiastujący, że natrafił na świeży ślad wilka płoszy tego ostatniego. Wilk w paru susach jest na linii, dosłownie 9 kroków od mojego stanowiska. Ciągnąc za spust widzę jak wilk zagryza ozór i całym ciężarem pada w ogień na linii, ale przez moment mam go jeszcze na muszce. Następnie cicho przeładuję broń i czuję jak mi krew odpływa z twarzy – z radości. Myślę sobie: uspokój się, bo źle o tobie pomyślał koleś. W tym momencie obok mnie pada ponowny strzał i słyszę śrut sypiący się po krzakach. Przez głowę przebiega mi nieładna myśl: strzeliłem wilka, ale sąsiad strzelił dwa. Za chwilę ku mojemu zdziwieniu sąsiad wyskakuje na linię z okrzykiem: panie, mam dwa lisy. Słowa jego splatają się z moim okrzykiem: a ja mam wilka. Nie wiem, kiedy wszyscy się zeszli, wiem tylko, że co chwilę wpadałem w czyjeś ramiona i gratulowano mi. Był to pierwszy wilk strzelony w naszym gronie. Młody basior, ważący 33 kg. Andrzej poprosił o ciszę i podał mi na nożu, leżący na jego czapce „Złom”. Staliśmy wszyscy z odkrytymi głowami wpatrzyli w zwierza.

ADAM BISPING



fot. S. Porachowski